№ 2. Czwartek, dnia 13 Stycznia. Rok 1876.



WARSZAWA
dnia 1 (13) Stycznia
1875/6 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50.
Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.
(nowy 11).
Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

W DZIEŃ IMIENIN DZIECKA.

W kirowej czerni, z cichą łzą boleści,
Z pokojem w twarzy, a z synem na ręku,
W skromnej powadze godności niewieściéj,
Przy młodej krasie dziewiczego wdzięku,
Któż jawniej nad Nią w żywą postać wciela
Ideał wieszczych widzeń Rafaela?

Byłżeby przeto hołd grzeszny czy wzbronny,
Ugiąć kolano, jak w obec Madonny,
I wznieść modlitwę—nie do Niej, lecz za Nią,
Za ziemską siostrę błagać Niebios Panią,
Ją, co żal wdowy i słabość sieroty
Osłania tarczą matczynej opieki,
I święte przodków zasługi i cnoty,
Jak na swój ołtarz złożone klejnoty,
Na ich plemiona rozdziela przez wieki?

I czyż modlitwa nie byłaby w porę,
Widząc tę lica anielską dziecinność,
Tę jakby razem bojaźń i pokorę,
Z jaką snać matki poczuwa powinność,
Powinność wielką i straszną, choć drogą:
Wychować syna—ale w synu kogo?

O! Matko Zbawcy! Ty wspieraj Jej chęci!
Wy zejdźcie w pomoc Aniołowie święci!
Bo tylko piecza i przewodnia wasza
Umie wieść ludzi w drogach Tobijasza.

A ty, dziecino! co dziś u Jej łona,
Ukołysany tajonem westchnieniem,
Oblany skrycie cichych łez strumieniem,
Rośniesz, nie wiedząc co łzy, i kto Ona!

Ah! czyż łzy takie, na twe przyszłe losy,
Na duszę twoję nie wpłyną, jak rosy
Ożywcze z nieba, na kwiaty, co wiosną
Nie wiedzą o nich, a z ich darów rosną?

A gdy dzień przyjdzie, że jak kwiat z powicia,
Sam z objęć matki wykwitniesz do życia,
Oby twój każdy czyn, podobny kwiatu,
Przydał ozdoby ojczyznie i światu!
A cnót twych odblask złożył na Jej czole,
Tę najświetniejszą niewiast aureolę,
Jaką się dusza promieni matczyna,
Gdy jej świat wdzięczny dziękuje za syna.

A. E. Odyniec.

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAŁ
Kaz. Wł. Wójcicki.

(Ciąg dalszy.)

II.

Koń, bezwiednie może naciskany przez jeźdzca, szedł wyciągniętym kłusem, drogą gładką idącą wprost do krawędzi lasu, po za którym w głębszym parowie ukazywał się mały folwarczek Wólka Słomiana, należący także do pana Bonifacego. Dzierżawił go od lat wielu

brat jego stryjeczny Paweł Przecki, w całej okolicy zwany *kapitanem kuternogą*; chodząc bowiem, nalegał on mocno na nogę, w którą onego czasu dostał był postrzał, ale zawsze był doskonałym jeźdźcem, jako stary kawalerzysta drugiego niegdyś pułku ułanów. W jednej szarży na armaty, czerep granatu urwał mu kawałek pięty i lekko konia po skórze liznął, ale kapitan w zapale nie czuł postrzału, i na zdobytej dopiero bateryi pozwolił sobie nogę opatrzyć.

Starszym był od pana Bonifacego o lat kilkanaście; ojcowie ich, rodzeni bracia, różnej doli doznali. Ojciec Pawła, służąc wojskowo jeszcze za czasów księstwa Warszawskiego, dział swój stracił, nie przez hulankę i zbytki, ale nie gospodarząc, a gdy wrócił do kraju ze szlifami pułkownika, zaledwie mu tyle pozostało, że ożeniwszy się z ubogą panną, z resztek zakupił sobie sześć włók ziemi z dworkiem przy miasteczku, i tu gospodarząc na stare lata, zaledwie zdołał dać przyzwoite wychowanie swemu jedynakowi.

Sam prawego charakteru i nieposzlakowanej uczciwości, przelał te zasady i wysokie poczucie honoru w swego syna, który idąc śladami ojca, obrał sobie zawód wojskowy, a stary wojak umierając miał tę pociechę, że mu błogosławił już jako oficerowi. Paweł dosłużył się stopnia kapitana, ale gdy dla poniesionego kalectwa służyć dalej nie mógł, pan Bonifacy kochając go wielce, puścił mu w dzierżawę Wólkę Słomianą.

Czynsz był mały, folwark niezły, więc kapitan przy pomocy swej sędziwej matki, którą sprowadził do siebie, przyszedł po kilkunastu latach gospodarstwa do dobrego mienia i zapaśnego grosza.

Malowniczo wyglądał mały drewniany dworek w Wólce Słomianej; otoczony staremi lipami i sadem, iście podobnym był do wieńca zieloności, tembardziej, że i podwórze pełne było krzaków bzu, berberysu i róż dzikich.

Pan Paweł troskliwie, jak wszyscy dawni wojskowi, chodził około gospodarstwa, i czuwał nad wszystkiem, pomnąc na dawne ojców przysłowie, że: pańskie oko konia tuczy. To też sam dworek, równie jak zabudowania folwarczne starannie były utrzymywane, pola wybornie uprawne plon obfity dawały, łąki maiły się bujną trawą, a las, którego do dziesięciu włók należało do Wólki Słomianej, był strzeżonym jakby oko w głowie.

Pan Bonifacy przyznawał, że sam lepiejby i troskliwiej nie potrafił gospodarzyć. Wieśniacy i czeladź dworska kochali pana Pawła serdecznie, bo był sprawiedliwym i opiekował się niemi jak ojciec, ale każdy drżał przed nim, gdy namarszczył czoło i surowym głosem zawołał:

— *Sapristi!* do trzystu bomb i kartaczy, ja się nie dam zjeść w kaszy, a z tobą bratku będzie djable krucho!

Trzeba było coś bardzo zawinić, żeby z łagodnego zwykle kapitana, te słowa groźne wywołać. Zdarzało się nieraz, że młode parobczaki, jak tylko krzyknął: *sapristi!* brali nogi za pas i *dyrdem* zmykali, w przestrachu jak charty przesadzając płoty i rowy. Pan Paweł zaraz chłonął z gniewu, a patrząc na uciekających tak rączo, już reszty zaklęć nie domawiał, ale z rozchmurzonem czołem, z uśmiechem wesołym, zapalał fajkę i siadał na ganku przed dworkiem.

Właśnie i teraz kapitan zasiadł był z ulubioną lulką przed domem, gdy wtem siwosz p. Bonifacego, mimo wiedzy zadumanego jeźdźca, szparkim kłusem wniósł go na dziedziniec Słomianej Wólki. Dopiero gdy p. Paweł zdziwiony zawołał:

— A witaj nam, witaj panie bracie! a cóż cię tak rano przygnało do zapadłego naszego kącika? Ocknął się i zmięszał zarazem dziedzic Olszewnicy, ale oprzytomniawszy niebawem, rzeźwo zsiadł ze swego stępaka, który sam pobiegł do stajni, a ściskając gospodarza, odrzekł już spokojnym głosem:

— Nic mnie złego nie przygnało, ot, tak! wsiadłem na siwosza, a on poczciwiec zaniósł mnie tu, bo wiedział gdzie mnie serce ciągnie.

— Bóg ci zapłać mój Bonusiu! zawsze byłeś i jesteś poczciwe człeczysko! mówił rozrzewniony kapitan, ściskając i całując przybyłego brata.

— A jakże się ma stryjenka, kochana pułkownikowa? zapytał pan Bonifacy.

— Matka pojechała na odpust, odrzekł kapitan, i nie wróci jak na wieczór, ale u nas zawsze ład jeden i porządek. Śniadanie zaraz będzie, bo to właśnie *hora canonica*, w sam raz na kieliszek *przepalanki*. Jak łykniesz panie bracie, to ci oczko zbieleje a dusza się roześmieje. Wyrzekłszy te słowa, wziął brata pod rękę i przeprowadził do pierwszej komnatki.

— Kunusiu! zawołał głośno, i w tej chwili ukazała się panna Kunegunda, krewniaczka pułkownikowej, licząca około lat trzydziestu ale jeszcze przystojna, czerstwa i rumiana. Pan Bonifacy serdecznie ją pozdrowił, jako dawną znajomość.

— Dajno nam panna, — mówił wesoło pan Paweł — nasz *podkurek*, i tej piołunówki z majowego piołunku!

W mgnieniu oka stół nakryto, zastawiono wędliny, ser, młode masło i chleb świeży z wczorajszego pieczywa.

— W ręce twoje, w gardło moje! rzekł kapitan nalewając spory kielich piołunowej wódki, którą jednym haustem do dna wychylił. Pan Bonifacy poszedł dzielnie za jego przykładem, a kiedy przetrącili nieco, pan Paweł szepnął coś na ucho pannie Kunegundzie, i niebawem ukazała się na stole butelka starego miodu.

— Masz tu, mój kochany Bonusiu, z własnej pasieki miodek, ale warto mu dać buzi, bo to z pierwszego roku moich osiedlin w Wólce Słomianej, a dawne to już czasy. Z własnej pasieki sycony przez moją matuchnę. Zdrowie naszej czcigodnej pani Bonifacowej, córek i najstarszego pędraczka!

— Piękny pędraczek! zawołał już rozweselony pan Bonifacy,—a wąs mu się bujny od trzech lat krzewi pod nosem.

— Dla mnie to zawsze dzieciuszek, bom djable starszy od niego! Ale widzę że mój miodek smakuje.

Pan Bonifacy nie dał się długo namawiać i tak sącząc kieliszek po kieliszku, niedługo dno w butelce przeglądające ujrzeli.

— Nie rozumiem panie bracie, mówił kapitan nakładając dla siebie i dla gościa fajki, co tu się tak ciągle kręci ten Rudy Szmul z Niemcami. Od tygodnia, ile razy objeżdżam pola, a posunę się ku twoim lasom, spotykam go prawie zawsze, nie z jednym to z drugim Niemcem. Penetrują twoje bory, Niemiec w pugilaresie coś pisze a rachuje, a żyd mu podpowiada. Przed trzema dniami jadę na mojej bułance, patrzę, a Rudy Szmul bidką swoją zawraca w lasy Wólki Sosnowej; porwała mnie pasya, przyskoczyłem do niego.

— *Sapristi!* zawołałem i harapem świsnąłem mu nad głową. Jak cię tu żydzie złapię raz jeszcze na mojej granicy, to taką sprawię ci łaźnię, że ruski miesiąc popamiętasz! Żyd zbladł jak chusta, zdjął i lisią czapkę i jarmułkę, zaciął konia i galopem odjechał. A dobrze że mi się usunął z oczu, bo mnie djable ręka swędziła.

Pana Bonifacego ognie przeszły, więc dla pokrycia swego pomięszania, nalał sobie resztę miodu z butelki i rzekł wstawszy z podniesionym kieliszkiem.

— Zdrowie naszej kochanej pułkownikowej, a tu nieobecnej!

Pan Paweł na to wspomnienie o bożym świecie zapomniał, bo czcił i kochał nad wszystko swoją matkę;

poprosił więc panny Kunegundy o buteleczkę tego samego *pszczolego wina*, która pomimo wypraszań się brata, niebawem także wyschła do dna. Przy niej zapomniał dziedzic Olszewnicy o wszystkich troskach, wrócił do wrodzonej serdeczności, wyściskał na wszystkie strony kapitana, wycałował i pannę Kunegundę, a dosiadłszy jednym skokiem siwosza, znów dobrym kłusem ruszył napowrót.

Na wzgórku pobliskim, przy rozstajnych drogach stał krzyż zwyczajem naszym z *męką pańską*; przystanął pod nim, zdjął czapkę i przeżegnał się. p. Bonifacy, a gdy spojrzał ku dworkowi który przed chwilą opuścił, ujrzał kapitana jak stał w ganku i rękoma wymachiwał mu jeszcze pożegnanie.

Pan Bonifacy skręcił z prostej drogi ku swoim lasom, chciał troszkę wyszumieć i orzeźwić się powietrzem borowem i chłodkiem, bo słońce zaczęło przypiekać a miodek powoli oddziaływał. Czuł się jakoś niezwykle wesołym, przychodziła mu ochota zaśpiewać, ale słów zapomniał, więc tylko melodye poświstywał sobie.

Kukułka ozwała się w lesie; pierwszy raz ją usłyszał, przystanął więc, dobył sakiewki i zaczął liczyć pieniądze, ażeby się mnożyły i trzymały wedle starej wróżby; ale jakoś w tę samą chwilę przypomniał sobie słowa brata o Rudym Szmulu i Niemcach, i na to wspomnienie stracił odrazu humor, osowiał, popatrzył smutnie na masztowe sosny i olbrzymie dęby, cmoknął na siwosza, i galopem wydobył się na otwarte pola, z których już kilka tylko staj było do dworu.

Zsiadłszy z konia wchodził na ganek z pochmurnem czołem, ale gdy wybiegła na jego powitanie wesoła Ewunia i rzuciła się z radosnym okrzykiem w jego objęcia, szczęśliwy ojciec na ten widok uśmiechnął się, a troska, chociaż na chwilę, pierzchnęła gdzieś daleko.

Zbliżał się właśnie czerwiec, a z nim i imieniny pana Bonifacego. Ztąd we dworze olszewnickim panował już ruch niezwykły, gdyż pani Przecka wraz z córkami robiła zawczasu przygotowania do sutego jak zwykle obchodu tej wielkiej uroczystości. Rudy Szmul pod pozorem rozmaitych potrzeb do kuchni, codziennie zjawiał się we dworze, a zawsze tajemne z samą panią miewał narady.

W wigilię nareszcie imienin odjechał niezwykle uradowany, gdyż na odjezdnem z ust pani posłyszał słowa, na które chciwość jego zadrżała nadzieją rychłego zysku, którego dotąd jeszcze nie był pewien.

— Spodziewam się mój Szmulu, rzekła pani Przecka, że tu już ostatnie mężowi wyprawiamy imieniny.

III.

Nadszedł oczekiwany dzień piątego czerwca, uroczystość św. Bonifacego biskupa. Od samego rana dwór w Olszewnicy przybrał godowe szaty. Ulubiony gospodarzowi ganek domu strojny był w kwiaty, a słupy jego okręcone wieńcami liści dębowych. Matka z córkami zajęła się przygotowaniem śniadania, obiadu i kolacyi, gdy młody Wacław stał w pogotowiu wraz z ojcem na powitanie i przyjęcie gości.

Najwcześniej przybył pan kapitan z matką swoją, towarzysząc jej konno obok pojazdu, w którym przy pułkownikowej siedziała panna Kunegunda. W jego tropy wysiadł z nejtyczanki pan Bazyli Sirawski, ziemianin, mogący liczyć około czterdziestu lat wieku, obywatel zamożny, posiadacz dwóch folwarków obszernych, w których same lasy do sześciudziesiąt włók zajmowały. Szanowano go w całej okolicy, zarówno z mienia jak rozumu, a obawiano się straszliwie, bo ciął prawdę wszystkim w oczy i o resztę nie pytał.

Do południa zjechało się mnóstwo gości. Pan Bonifacy z synem uprzejmie i serdecznie podejmowali łaskawych przyjaciół, sąsiadów i znajomych. Przy śniadaniu, po jednym i drugim kieliszku wina, rozwiązały się języki. Kapitan pierwszy w głos zaczął rozmowę z Sirawskim.

— A wiesz panie Bazyli, przemówił, że znowu spotkałem jadąc tu na dzień tak uroczysty, w borach Olszewnicy dwóch Niemców i Rudego Szmula. Niemcy chciwie oglądali masztowinę i stare dęby, kręcili łbami i coś z sobą szwargotali, a Szmul jak mnie zobaczył, tak batem swego konia... i ulotnił mi się jak kamfora bez pieprzu.

— Mój kapitanie! odrzekł Sirawski, oddawna oni polują na nasze lasy, zaglądali i do moich, ofiarowali mi nawet grube pieniądze, ale ja im drzwi otworzyłem i powiedziałem, że moje progi za wysokie na ich nogi. Już więcej do mnie pewnie nie zajrzą, za to ci ręczę.

— A! bo też trzeba być *infamisem*, rozgrzany nieco kieliszkiem pan Paweł zawołał, żeby tym szołdrom sprzedawać ziemię swych ojców. Ja, wiesz Bazyli, każdemu takiemu nikczemnikowi naplułbym w oczy.

— A jeżeli który ze szlachty musi dla długów sprzedać? odezwał się pan Jan Boruski, sąsiad Olszewnicy.

— Takiemu, co ma nóż na gardle, to prędzejbym może wybaczył, — odrzekł kapitan, — ale niech mi stanie w oczy taki, którego nic nie nagli do sprzedaży, tylko dla wygódki własnej albo pani swojej opuszcza gniazdo ojcowskie i rodzinne ognisko, to mu powiem w oczy i za oczy, *sapristi!* że podły nikczemnik, choćby to był mój brat rodzony!

Wypowiedziawszy te słowa, pokręcił wąsa i spojrzał do około stołu. Uderzyły go szczególniej dwa oblicza: pana Bonifacego i jego żony. On był blady, a pani Teofili prawie krew tryskała z twarzy. Jakaś smutna myśl przebiegła mu po głowie, gdy w tejże chwili zatarł jej wrażenie pan Bazyli, wznosząc zdrowie dzisiejszego solenizanta. Gospodarz chciał oponować, ale musiał przyznać się w końcu, gdy kapitan powstawszy huknął grzmiącym głosem:

— Zdrowie pana Bonifacego, zacnego obywatela naszej okolicy, który kocha swe gniazdo ojczyste i miłuje sercem zacnych sąsiadów i braci. A z tym wiwatem wznoszę zdrowie szanownej pani Bonifacowej i ich konsolacyi!

Kieliszek obiegł całą kolej i rozochocił wszystkich. O piątej godzinie zaproszono do obiadu, który się długo przeciągnął. Znak do powstania od stołu dała żydowska kapela, która sprowadzona z pobliskiego miasteczka, hucznego poloneza zagrała. To było hasłem dla młodzieży do tańców, a pan Bonifacy choć zwarzony, bo każde słowo kapitana paliło go jak rozpalone żelazo, z upodobaniem widział jak jego Ewunia z młodym a dorodnym Adamem z Łomnicy żwawo wywijała dziarskiego mazura.

— Jaka to dobrana para! pomyślał, i smutnie pokiwał głową.

Pannę Jadwigę otaczało liczne grono wielbicieli, ścisk był koło niej wielki, a matka z rozradowanem obliczem spoglądała na te hołdy młodzieży, chwytając ciekawem uchem pochlebne frazesa, które ze wszystkich stron płynęły. Ale gdy uważniej w tej liczbie się rozpatrzyła, ze smutkiem powiedziała sobie, że z całego tego zastępu ani jeden nie był godnym ręki jej ukochanej córki.

— Tak! pomyślała, tu niema na co czekać i w czem wybierać, w jednej tylko Warszawie znajdzie się odpowiednia partya!

Zabawa przeciągnęła się aż do rana. Jeszcze tańczono, gdy światła potrzeba było pogasić, bo dzień już był dobry. Kapitan z matką pierwszy odjechał, a za nim i Sirawski; reszta gości pomieszczona wygodnie na

chwilowy spoczynek, dopiero nazajutrz po sutem śniadaniu opuściła dwór gościnny.

Pan Bonifacy zaledwie ostatniego z gości pożegnał, padł prawie bezsilny na sofę w kancelaryi i zmęczony twardo zasnął.

W tydzień później cicha wieść się rozbiegła, że Olszewnica sprzedana Niemcowi Schüllerowi z Prus, że pan Bonifacy wziął do ręki 60,000 rsr., prócz tego za *remanenta* 3,000 rsr., i tyleż pani sama *porękawicznego*, razem 66,000, a wkrótce potem, że dziedziczka Olszewnicy już opuściła stary dwór i wyjechała na stałe, mieszkanie do Warszawy, nie pożegnawszy się z nikim w całej okolicy.

Kapitan w drugim dopiero tygodniu dowiedział się o tem od swego ekonoma, gdy przyjechał do kosiarzy co trawę siekli. Na tę wiadomość zbladł jak ściana, nie wyrzekł ani słowa, ale szybko zwrócił konia i galopem popędził na wzgórze, z którego widać cały dwór w Olszewnicy. Tu stanął, i po chwili z niewymowną boleścią zawołał:

szenia. Matka rzuciwszy nań okiem, porwała się z fotelu przerażona i zapytała z trwogą:

— Co ci jest Pawełku?

— Nic mi kochana matuchno, ale niech przy tobie odetchnę, bo mi piersi ciśnie kamień smutku.

I to mówiąc wziął mały stołeczek, usiadł przy jej nogach, wsparł głowę na jej kolanie i zaczął jak dziecię płakać.

Pułkownikowa znając naturę syna, w milczeniu objęła jego głowę i całować ją poczęła, a kapitan po chwili, utulony tą pieszczotą, dopiero się odezwał:

— Pan brat Bonifacy nasze stare gniazdo sprzedał Niemcowi!

— Nic mi moje dziecko już nie mów o tem, wiem wszystko, boleję nad jego ślepotą, ale modlę się za ich szczęście...

Kapitan też więcej ani słowa nie wyrzekł, ucałował ręce matki, powstał, a przeszedłszy do swego pokoiku, fajkę zapalił i wyszedł na ganek.

Zaledwie nieco swobodniej oddychać zaczął, gdy

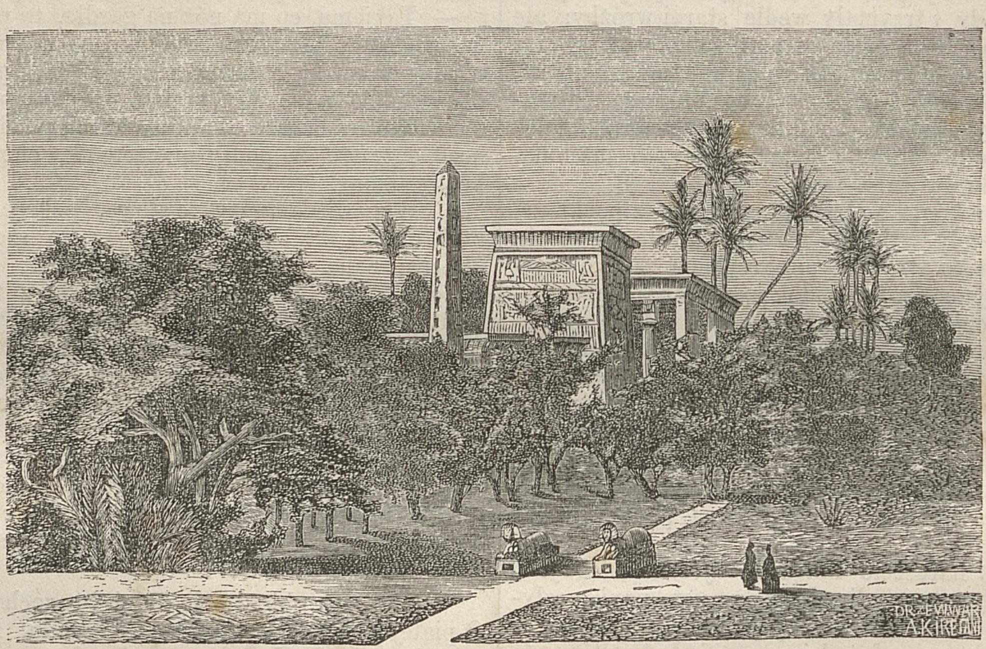


Fig. 3. Ogród w starożytnym Egipcie. (str. 18)

— A więc i ty, stare gniazdo naszego rodu, przeszłoś w ręce niemieckie! O! przekleństwo tym, co znaglili poczciwego brata do tak niecnego frymarku!

Potem zwrócił konia, i stępą wracał do swego dworku.

Ochłódł nieco z pierwszej boleści i wzruszenia, smutnie opuścił głowę na piersi i zaczął dumać.

— Co ten biedny Bonifacy teraz robić będzie na bruku? Nazwyczajony do tak czynnego życia od lat najmłodszych, on mi się zmarnuje!.. Ale co począć? jak złemu zaradzić?..

Tak w myśli biadając, stanął niebawem przed gankiem, zsiadł z konia i poszedł prosto do matki.

Pułkownikowa, matrona licząca już siódmy z górą krzyżyk, nie okazywała bynajmniej tak późnego wieku. Wysmukłej postaci, której wiek nie nagiął, czerstwego jeszcze oblicza, zachowała wyraźne ślady dawnych wdzięków. Oczy czarne nabierały jeszcze czasem dziwnego blasku, zwłaszcza pod wpływem silniejszego wrażenia.

Właśnie modliła się na dużej książce, gdy kapitan wszedł z obliczem bladem jeszcze od pierwszego wzruusłyszał daleki tentent konia, podniósł głowę i spojrzał na drogę.

Pod krzyżem, na rozstaju, siedział na swoim siwku pan Bonifacy z odkrytą głową, jakby się zcicha modlił, a potem spojrzał na dworek w Wólce Słomianej. Poznał go kapitan dobrze, snać że i jeździec go widział, bo nagle głowę opuścił na piersi.

W starym kawalerzyście krew zawrzała, zerwał się z ławki i zaklął po swojemu:

— *Sapristi!*

Wtem niespodzianie uczuł dłonie na swoich ramionach; były to ręce jego matki, która dostrzegłszy na zakręcie drogi pana Bonifacego, szybko wybiegła na ganek. Na wykrzyk syna odezwała się z majestatyczną powagą:

— Panie kapitanie!

Pan Paweł porwał jej dłonie, zakrył sobie niemi oczy, i drżącym głosem zawołał:

— O! matuchno moja złota! zakryj go przed moim wzrokiem, niech go nie widzę!

— Nie, mój synu! patrz! patrz! on tam stoi pod Męką

Pańską i płacze! Widzisz jak oczy ociera, już sam się ukarał, bo nie śmie z nami się pożegnać i uścisnąć twej ręki... Więc ja cię wyręczę...

Po tych słowach stanęła na ławce w ganku. Postać jej wysoka wydatniejszą jeszcze była w czarnej żałobnej sukni, której nie zrzucała od śmierci męża. Na ten widok pan Bonifacy pochylił jeszcze niżej głowę.

Pułkownikowa krzyż zakreśliwszy, posłała mu ręką przyjacielskie pożegnanie.

— Teraz, przemówiła wzruszona, jedź szczęśliwie w drogę! Oby Bóg dobry tobie i twoim zawsze szczęścić raczył!—Znać, że biedny dziedzic Olszewnicy widział ten krzyżyk i pożegnanie, bo pokilkakroć czapką pokłoniwszy, zwrócił siwka i galopem napowrót popędził.

Na gruncie do Wólki Słomianej należącym, w wieńcu starych lip, wznosił się starożytny kościołek murowany gotyckiej struktury, z obszernym w około cmentarzem. Tu była parafia, do której tak Olszewnica, jak i wsie z całej okolicy należały. Fundował go jeden z przodków Przeckich, spełniając ślub, który zrobił w jasyrze tatarskim, gdy się szczęśliwie na wolność wydobył. Tutaj były groby całej rodziny, tu spoczywali ojciec i matka pana Bonifacego, i w ścianie od strony cmentarza mieli piękne grobowe pomniki. Trawiony smutkiem, rozżalony ostatniem zdaleka pożegnaniem pułkownikowej, pan Bonifacy dojechawszy do kościoła zsiadł ze swego stępaka i przy grobach swoich rodziców długo stał z opuszczoną głową. Czy się modlił, czy błagał ich o błogosławieństwo na dalsze życia koleje, niewiadomo— bo stary polowy kapitana, który w tę chwilę go zobaczył, opowiadał, że dziedzic Olszewnicy stał jak skamieniały i usta miał zamknięte, — potem powlókł się do konia, ledwie go dosiadł i zwolna odjechał.

Kiedy przybył do swego dworu, ostatnie fury naładowane meblami i sprzętami wyruszały do Warszawy. W ganku powitał go Rudy Szmul, nisko się kłaniając, z oświadczeniem że nowy pan wkrótce nadjedzie. Pan Bonifacy szybko obiegł wszystkie pokoje, już puste, a najdłużej zatrzymał się w sypialnej komnacie. Na ulubionym kominku dopalały się jeszcze głownie. Stanął przy nim, kilka razy westchnął boleśnie, łzy mu zabłysły w oczach, i nie wyrzekłszy słowa, wsiadł do pojazdu, który już stał w pogotowiu.

— Do Warszawy! krzyknął na fornala.

W tej właśnie chwili na bryce z dużą budą, z przeciwnej strony wjeżdżał do starego dworu nowy dziedzic, pan Schüller, którego przyjmował radośnie Rudy Szmul, witając zdala i czapką i jarmułką. (*D. c. n.*)

SZKICE

Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

(Ciąg dalszy.)

2. Ogrody na Wschodzie.

W najodleglejszej starożytności Persya, Asyrya i Chiny posiadały przepyszne sady i parki.

Wiszące ogrody Babilonu zaliczano do siedmiu cudów świata. Jedni przypisują je Semiramidzie, inni pewnemu królowi syryjskiemu, który polecił je zbudować na usilne prośby jednej ze swych żon ulubionych, pochodzącej z Persyi. Opis babilońskich ogrodów znajdujemy w Strabonie, Dyodorze sycylijskim i Filonie z Byzancyum.



Fig. 4. Irrygacya w starożytnym Egipcie (str. 19).

Raj ten, w kształcie czworoboku, liczył z każdej strony cztery pletry, czyli 416 stóp pols. długości i wznosił się w postaci amfiteatru na tarasach piętrzących się jeden nad drugim. Pod każdym tarasem przeprowadzone były galerye utrzymujące na sobie cały ciężar drzew i krzewów. Najwyższa galerya, na której opierał się ostatni taras, wznosiła się na 50 łokci nad poziom. Mury wypróbowanej mocy miały 22 stóp pols. grubości, a podmurowanie na którem spoczywały 10 stóp szerokości. Sklepienie galeryi stanowiły kamienie ciosane w kształcie belek, których długość wraz z wyskokami wynosiła 16 a szerokość 4 stóp polskich. Na takiem kamienistem sklepieniu urządzony był pokład z trzciny pomięszanej z asfaltem a następnie podwójna warstwa cegieł palonych, cementowanych gipsem. Na tej powale spoczywał dopiero pokład blach ołowianych, zabezpieczających sklepienie od przesączania się wilgoci. Na powałę sypano ziemię rodzajną w ilości odpowiedniej do wyżywienia drzew wyniosłych na pięćdziesiąt stóp i najrozmaitszego gatunku roślin ze wszech krajów sprowadzanych a osobliwych to wielkością lub liściem, to kwiatem lub owocem. Raj babiloński był jednem słowem olbrzymim lasem o dwudziestu piętrach. Galerye obejmowały królewskie apartamenta przeróżnie ozdobione, z których jeden pokój ze sklepieniem zaopatrzonem otworami, mieścił w sobie machiny czerpiące ogromną ilość wody z Eufratu, chociaż nikt z zewnątrz nie mógł dopatrzeć pracy jaką one spełniały. W ten sposób mnóstwo tajemniczych kanałów krążyło wśród roślin, roznosząc wilgoć a tem samem utrzymując świeżość krzewów w ogrodach wiszących.

Dziś, wpośród ruin świadczących wyraźnie o wspaniałości Babilonu, na płaszczyznach obecnie jałowych i bezludnych, podróżny może jeszcze widzieć na miejscu starożytnych ogrodów drzewo, wskazujące całą swą postacią niepospolitą zgrzybiałość. Drzewo to obce całkiem tej ziemi,—pochodzi bowiem z Indyj,—jest prawdopodobnie ostatnim reprezentantem roślinności ogrodów wiszących Semiramidy. Parki w Medyi przypisywano również tej władczyni a między innemi krzewiący się u stóp góry Bagistanu, drugi około potężnej skały w bliskości miasta Channon.

Rozległa przestrzeń poprzerzynana szerokiemi alejami, ozdobiona pawilonami i wodotryskami, skrapiana przejrzystemi strumieniami, w której woń rzadkich kwiatów zapełniała powietrze a drzewa rodziły najwyborniejsze owoce, tworzyła tak zwany *raj* w starożytnej Persyi. Raj ogrodzony murem lub mocną palisadą, przypominał sad Laertesa i posiadał cechy właściwe ogrodom Grecyi.

Raje w Azyi Mniejszej były może najliczniejsze, gdyż każdy satrapa miał ich kilka i urządzał je z przepychem. Xenofont wymienia nam raj Belesisa rządcy Sy-

ryi,—Plutarch zaś raj Tissafernesa, zwany przezeń *Alcybiadem*, na cześć znakomitego Ateńczyka syna Klimasa. Raj Alcybiada posiadał wszelkie czary ogrodów wschodnich, dostatek wody i ornamentacye rozrzucone z przepychem iście królewskim.

Indye wschodnie, ojczyzna najbarwniejszych kwiatów i palących promieni słonecznych, w najodleglejszej starożytności posiadały urocze ogrody. Gęste, cieniste zarośla otaczały szałasy pobożnych równie jak pałace królewskie i świątynie bogów przeglądające się w wodach świętych jezior. Poeci malują nam żywemi farby różnokolorowe kielichy lotosu i jaśminów balsamicznych. Kalidusa, żyjący jak się zdaje w piątym wieku po Chrystusie, opisuje nam Sakuntala i jego towarzyszy polewających wodą krzewy i kwiaty czarującej piękności, w gajach jednej pustelni. Dramata indyjskie odbywają się zawsze na malowniczej arenie, w ponętnej miejscowości, wśród stawów przejrzystych, zapełnionych stadami łabędzi, w krużgankach lub w parkach wspaniałych.

W porównaniu z ogrodami azyatyckiemi, egipskie, pomimo piękności krzewów, nie zasługiwałyby nawet na wzmiankę, gdyby nie sztuka architektoniczna, która w nich pobudowała pylony ([1]), obeliski, kolumnady, pałace i świątynie. Struktura tych monumentów nużyła oko jednostajnemi kształty powtarzającemi się do znudzenia, co wszakże już wypływało z narodowego charakteru Egipcyan i państwowego ich ustroju.

Ogrody na ziemi faraonów miały pospolicie kształt czworoboczny. Drewniana palisada stanowiła ich ogrodzenie—jednym bokiem zwracały się zawsze ku Nilowi lub licznym jego kanałom, gdzie krzewiły się drzewa przycięte stożkowato. Od tej strony urządzonem było wejście o podwójnym rzędzie palm i drzew kształtu piramidalnego, ocieniających szeroką aleję; środek ogrodu zapełniały altanki ubrane w zieleń, kwadraty okolone drzewem i kwieciem, sadzawki ożywione ptastwem wodnem i pawilony przeznaczone do spoczynku. W głębi ogrodu, pomiędzy winnicą a wielką aleją, wznosił się kiosk obejmujący kilka komnat, z których pierwsza zamknięta, opatrzoną była balkonami z balustradą, a trzy następne otwarte, mieściły w sobie wodę, owoce i ofiary bogom składane. Niekiedy kioski budowano w kształcie rotundy z balustradą i sklepieniem wypukłem ku dołowi.

Mozajka, zwana *kamieniem Palestyńskim*, nasuwa nam wniosek, że starożytni Egipcyanie znali parki malownicze. Na pierwszym planie widzimy w niej człowieka płynącego po rzeczułce wytworną łódką, osłoniętą baldachimem ubranym festonami z liści i kwiatów. Wśród tej altanki, na ławkach siedzą kobiety, używające rozkosznego spoczynku przy dźwięku instrumentów muzycznych. Dalej spostrzegamy przeróżne gatunki roślin, uprawianych w owej epoce, i zwierzęta stanowiące krajową faunę—a w głębi wznosi się skała, na której myśliwiec zabawia się strzelaniem z łuku.

Pewniejsze przecież posiadamy wskazówki, że pierwsi Chińczycy wprowadzili sztukę zakładania parków i że poprzedników Stowego i Ermenonville'a potrzeba szukać na odległym wschodzie. Na wiele stuleci przed Chrystusem, Chiny przewyższały w tej sztuce Le Notre'a ([2]) i Kenta, podobnie jak władcy państwa Niebieskiego przewyższali potęgą, bogactwy i przepychem Ludwika XIV i królowę Annę.

Z dokumentów jakie posiada historya wnosić możemy, że parki chińskie pojawiły się nie wcześniej jak w czwartym wieku przed naszą erą; — jednak, już w czasach bohaterskich Grecyi, poprzestającej wówczas na skromnych sadach, były znane w Chinach ornamentacye ogrodowe. Słynny filozof Meng-tseu wspomina o prastarej posiadłości Weng-Wang'a, mającej obwodu siedm mil francuzkich, w której każdy Chińczyk mógł dowolnie polować, zbierać zioła lub owoc z drzew różnorodnych. Weng-Wang, powiada dalej Meng-tseu, posiadał park wspólnie z ludem, któremu słusznie tenże wydawał się zbyt małym. Meng-tseu podaje następnie wiadomość o nieprzystępnym parku Sinan-Wang'a, cztery mile francuzkie obwodu mającym, który był prawdziwym dołem pogrzebowym. Ktokolwiek tam bowiem zabił jelenia, karanym był śmiercią. Lud poczytywał ten park za *zbyt wielki* i również miał słuszność, dodaje rzeczony filozof. W sto lat póżniej Chi-Hang-Ti, z dynastyi Thsin, słynny niszczyciel ksiąg i królestw feudalnych, powstałych za jego poprzedników, założył park trzydzieści mil francuzkich mający obwodu, w którym odwzorował wszystkie zniszczone przez się pałace możnowładców. Niezliczona liczba zwierząt czworonożnych, ryb i ptaków, trzy tysiące gatunków drzew i krzewów, reprezentowały tu florę i faunę całego państwa. Wu-Ti, potomek hanów, wielki zdobywca, który dotarł do granic Indyj i brzegów morza Kaspijskiego, żyjący na 140 lat przed Chrystusem, założył park sto pięćdziesiąt wiorst mający obwodu, mieszczący w sobie mnóstwo pałaców, kiosków, grot i ornamentacyi wszelakiego rodzaju. Trzydzieści tysięcy niewolników zajmowało się w nim uprawą osobliwych roślin, nadsyłanych ze wszystkich prowincyj państwa. Jeden z władców tejże samej dynastyi zaniedbywał kulturę swych ogrodów, usprawiedliwiając się temi wzniosłemi słowy: „Poprzednik mój strwonił ogromne skarby na upiększenie parków, chociaż tysiącom ludzi brakowało ryżu—co do mnie, chcę zamienić Chiny w jeden ogród warzywny, aby każdy miał podostatkiem pożywienia". Do ośmnastego wieku Chiny nie wywierały żadnego wpływu na kulturę ogrodowniczą państw ościennych; Europa póżniej dopiero zaczęła korzystać z ich sztuki. Wschód w umiejętności inżynierskiej równie jak w architektonicznej celował od najdawniejszych czasów. Mocarze i kapłani, w ręku których skupiała się wiedza, poszukiwali sławy w budownictwie wspaniałych pałaców, okazałych grobowców i majestatycznych świątyń. W starożytnym Egipcie znakomity król i architekt z dynastyi Psametyka, wyrył na skale genealogią dwudziestu trzech pokoleń piastujących wyższe godności kapłańskie. Wschód był niewątpliwie ojczyzną pierwotną sztuki inżynierskiej;—czy Egipcyanie byli jej nauczycielami w Chaldei i Babilonie, czy też te państwa same ją wytworzyły, jest to kwestya dotąd nierozstrzygnięta. Assyryjczykowie i Egipcyanie byli przedewszystkiem narodami rolniczemi, u jednych i drugich znachodzimy płaszczyzny żyzne, przerznięte wielkiemi rzekami i w ogóle ziemię potrzebującą jedynie wody do wydawania obfitych plonów. Podobne sobie warunki wytwarzają zawsze jednakowe potrzeby i wiodą do rozwoju jednakowych zdolności, czyniących zadość tym potrzebom. Nie wdając się w rozbiór kwestyi pierwszeństwa kultury naukowej, wiemy że przed czterema czy pięciu tysiącami lat Mezopotamia i Egipt posiadały ludzi wielce biegłych w mechanice i hydraulice. Nazwiska ich zaginęły w niepamięci niewdzięcznego czasu, pozostały przecież ich dzieła niespożyte, świadczące o ich mistrzowstwie. Do budowy świątyń starożytnych wybierano głazy najokazalsze, najtrwalsze, olbrzymiej wielkości, co wymagało niepospolitej siły machin posługujących do przenoszenia tych głazów i ustawienia ich w wysokości jaką miały zajmować. Materyał używany do robót pu-

([1]) Mury w kształcie wieżyc, tworzące osadę głównych drzwi w świątyniach staroegipskich.

([2]) Andrzej Le Nôtre, mistrz w sztuce ogrodowniczej, ur. 1613 roku w Paryżu, zm. 1700 r. założył prześliczne ogrody w Wersalu, St. Cloud, Meudon, St. Germain, Fontainebleau i t. d.

blicznych był mocny i kosztowny, jasną więc jest rzeczą, że do jego obrobienia potrzeba było udoskonalonych narzędzi metalowych. Wszystko to wskazuje nam pewien znaczący postęp w sztuce metalurgicznej, gdyż metale służyły nadto do wyrobu wizerunków bożyszcz, do ozdoby zewnętrznych i wewnętrznych ścian świątyń i na kosztowne ornamentacye.

Pierwszemi pomnikami kamiennemi, których metrykę prawie dokładną możemy oznaczyć, są piramidy w Gizeh, w których przechowywano zwłoki zmarłych faraonów. Dziś, po upływie pięciu tysięcy lat, moglibyśmy z nich jeszcze pozyskać przedziwny materyał mularski, któremu nie sprosta w trwałości żadna cegła, choćby najprzedniejszego gatunku. Przez dziesięć wieków budowano piramidy w Egipcie, żadna z nich przecież nie dorównywa w konstrukcyi istniejącym w Gizeh. A jednak w skład ich wchodzą ogromne głazy do 50 stóp polskich długości mające, których waga przenosi często 300 beczek. Sztuka spajania ogromnych głazów przeszła od architeków piramid egipskich do ich następców—zresztą w budownictwie tem posługiwano się ramionami niezliczonych niewolników, ztąd nie może nas dziwić posąg Ramzesa wielkiego, ważący przeszło 800 beczek.

Sztuka miernicza jak niemniej sztuka nawadniania dosięgły wysokiego stopnia rozwoju w starożytnym Egipcie. Jezioro Moeris było głęboką kotliną wyżłobioną przez faraonów, którą zaopatrywały w wodę wylewy Nilu. Rozległość jego wynosiła 380 kilometrów kwadratowych, a wody utrzymywała grobla 208 stóp pols. szeroka, a prawie na 35 stóp pols. nad poziom wzniesiona. Zbiornik ten wystarczał do nawodnienia przestrzeni rozległej na 300 kilometrów kwadratowych! W dzisiejszych nawet czasach, słynnych z kolosalnych robót inżynierskich, nie dokonano tak olbrzymiego dzieła. (fig. 4.)

Pomyślność Egiptu zależną była przeważnie od jego opatrznościowej rzeki, dla tego też mieszkańcy tej ziemi oznaczali starannie wysokość rocznych wylewów Nilu. Wskazówki tego rodzaju znachodzimy dziś jeszcze wyryte na skałach otaczających rzekę. Pieczęcie królewskie głęboko odciśnięte na opoce, objaśniają nas w jakim czasie wymiarów tych dopełniono.

Mieszkańcy Mezopotamii obserwowali również wylewy wielkich rzek swego kraju, i kreśląc plany kanałów, korzystali z różnicy czasu w jakim zachodziły wylewy Tygru i Eufratu. W Babilonie wyznaczanym bywał urzędnik, którego zadanie ograniczało się na wymierzaniu wysokości rzeki. Dokument znaleziony w ruinach tego miasta, wspomina o wysokości wód wymierzonej przez takiego urzędnika i wpisanej do ksiąg świątyni Bela. Assyryjczycy, których kraj nierówny i skalisty przedstawiał więcej trudności, bieglejszymi byli od Babilończyków w robotach hydraulicznych. Kanały w Egipcie i Mezopotamii służyły do irrygacyi roślin, w Assyryi zaś użytkowała z nich nadto żegluga. Takim był kanał łączący morze Śródziemne z Czerwonem, będący niezaprzeczenie wielkiem dziełem inżynierskiem. Długość jego wynosiła około 130 kilometrów, szerokość wystarczała do jednoczesnego przepływu dwóch galer o trzech rzędach wioseł. Jeden z kanałów spławnych babilońskich, przypisywany Nabuchodonozorowi, mógł rywalizować długością z największemi dziś istniejącemi.

Wiedza wszakże babilońsko-assyryjska nie liczyła długich dni istnienia. Po upadku Babilonu i zniszczeniu Niniwy, ludność zamieszkująca żyzne okolice obu tych miast znikła, urodzajne pola zmieniły się w rozległą pustynię. Nie takiemi były losy Egiptu;—zchodząc z wyniosłego szczebla swej potęgi, pozostał on wszakże źródłem wiedzy dla Greków i Rzymian. Filozofowie greccy udawali się do Egiptu i w przybytkach kapłanów czerpali światło nauki.—Umiejętności i sztuki przeniosły się z okolic Eufratu na ziemię skrapianą Nilem.

Czas nam jednak wrócić do ogrodów Rzymian i wiejskich ich siedzib, pobudowanych z nieporównanym przepychem.

3. Wiejskie siedziby Rzymian.

Mało który naród podobno pod względem wszechstronnej działalności może iść w porównanie z Rzymianami. Życie publiczne w Romie wymagało ruchu nieustannego, zajmowało umysł każdego obywatela; nie możemy się zatem dziwić, że po dokonanym zaborze świata, wodzowie i mowcy rzymscy czuli się wielce znużonemi i spragnionemi cienia i spoczynku. Jedni, unikając sirocca roznoszącego gorączkę, pośpieszali ukryć się na stokach siedmiu wzgórzy, stosując do gajów Viminalu, Esquilinu lub Palatynu prawa, wygłoszone przez Kajusa Maryusza, ogrodnika z zamiłowania, który był korespondentem Cycerona i przyjacielem Augusta. Drudzy, poszukując ustronia w modrawych górach, które zdają się zataczać naokoło Rzymu cyrk rozległy, pod cieniem zielonych dębów i jodeł nadmorskich słuchając szmeru wodospadów, znajdowali spoczynek zdala od zgiełku burzliwego forum. Apeniny nęciły ich łagodną temperaturą—ze swej strony moda zalecała wycieczki do Neapolu lub pobrzeży Baia, stawianie marmurowych pałaców nurzających się stopami w morzu, grobli kamienistych, kopanie łożysk jezior tuczących smakowite ostrygi, i budowanie naprzeciw błękitnych fal morza białych portyków, zamieszkałych przez bogi marmurowe, osłonięte bogatym liściem drzew wyniosłych.

Ogrody Pompejusza, Lukullusa, Salustyusza (*villa Ludovisi*), Cezara, Mecenasa i Nerona słynęły w starej Romie z wykwintu. Nie będziemy tu wdawać się przecież w ich szczegółowy opis, a natomiast przejdziemy do wiejskich siedzib możnych Rzymian. Niezliczone tak zwane wille w Tusculum (Frascati), błyszczały niby kwiaty białe wśród zieleni na spadzistym stoku naprost Rzymu położonym. Cycero posiadał tu słynną majętność, dawną własność Sylli, a w niej palestrę grecką, lyceum ozdobione posągami, oraz małą akademię z amfiteatrem i statuami Hermesa o bronzowej głowie i marmurowym torsie, spoczywającemi na piedestałach piramidalnych. Wszystko to przypominało autorowi *kwestyj tuskulańskich* (*Tusculanae quaestiones*) ulubione przezeń Ateny, zadowalało jego upodobania artystyczne i naukowe. Źródła, których wody przeprowadzał wodociąg Crabra, odżywiały jego rozległe ogrody. Francuz Dézobry w ten sposób opisuje pomieszkanie Cycerona:

«Widzieć się ono daje tuż pod Tusculum na wschodnim stoku góry; jedną stroną na tej spadzistości zwraca się ku południowi, drugą, niezmiernie wyniosłą, ku północy. Dom, jak wiele innych willi rzymskich, wygląda na portyk—budynek ozdobiony kolumnami tworzy wewnątrz długą i szeroką galeryę, z dobrze urządzoną wentylacyą i dobrem światłem, mieszczącą w sobie przynajmniej dwadzieścia komnat przeznaczonych na pomieszkania. Piękność całości tej budowli i jej rozległość czyni ją godną rezydencyi królewskiej—wysokość jej dochodzi 35 metrów (przeszło 120 stóp pols.) a długość fasady wynosi około sto metrów (prawie 347 stóp pols.). Miejscu temu nie zbywa na pewnej majestatyczności—po za domem widać cytadellę i mury Tusculum, które z nią zdają się tworzyć jakby jednę całość; na prost tej siedziby rozpościera się dolina Alby, droga Latyńska, olbrzymie góry Albańskie a ku zachodowi morze. Dziś z tej przepysznej willi pozostały tylko ruiny świadczące o dawnej jej wspaniałości. Wdzierając się na jej stoki spotykasz tu

i owdzie rumowisko cegieł na urwistej skale, lub szczątki kolumn marmurowych starożytnego teatru.

Horacyusz, miłośnik drzew i wodotrysków, przebywał najczęściej w cichej wiosce leżącej na spadku góry Libretti, około gajów Tyburskich, gdzie dziś istnieje Tivoli (fig. 5). Nie posiadamy wskazówek dotyczących konstrukcyi tej jego siedziby, zapewne skromnej, zasługującej przecież na wzmiankę ze względu na talenta jej właściciela. Tu poeta spoczywając pod dębem, przysłuchiwał się śpiewom ptastwa i szmerom strumyków, tu spraszał przyjaciół na wiejską ucztę, składał pieśni na cześć Fauna, opiekuna ogrodów i nimfy miasta sabińskiego Bandusium. Współcześni mu Scypionowie i Lukullus wnieśli do swych ogrodów zbytek azyatycki; przyroda nie odpowiadała ich pojęciom estetycznym, więc drzewom nadawali kształty jeometryczne, wody źródlane wlewali do marmurowych sadzawek, w których kąpały się złote karpie z morza sprowadzane i mieniące się kolorami tęczy, mureny Adryatyku, karmione pokrajanem ciałem niewolników, skazywanych na śmierć częstokroć za najmniejsze przewinienie.

(C. d. n.)

ROZPRAWY O MAŁŻEŃSTWIE I WYCHOWANIU,

w dziełach z drugiej połowy XVI i pierwszej XVII wieku.

przez Wł. Chomętowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Przekonywamy się z przeglądu rozpraw w przedmiocie wychowania, że jak z jednej strony uwzględniano korzyści spływać mogące z podróżowania młodzieży po zagranicznych krajach, tak z drugiej strony upatrywano niebezpieczeństwo w pochopności do naśladowania zbytków oraz innych szkodliwych zwyczajów. W świetnej tak zwanej Zygmuntowskiej epoce naszego piśmiennictwa, traktaty lub rozprawy o stosunkach domowych, o małżeństwie i wychowaniu, w szeregu różnych żywotnych kwestyj nieposlednie zajmują miejsce. Pominiemy wiersze satyrycznej treści, gdzie znajdujemy wszystkie grzechy powszednie, odmalowane w nader rubasznej formie, lecz zastanowimy się nad utworami, gdzie kwestya małżeństwa i wychowania z poważniejszej przedstawia się strony. W obrazach ówczesnych stosunków domowych, malują pisarze nasi bogobojną, roztropną, skromną i pracowitą niewiastę jako ideał wzorowej żony i matki. Nie zaniedbano jednak przedstawić odwrotnej strony medalu w portretach niezgodnego pożycia i głośnych walk małżeńskich, które dziś, dzięki postępowi cywilizacyi, przynajmniej w oświeceńszych warstwach społeczeństwa, w łagodniejszych występują formach. Autor kreślący tak posępne obrazy przestrzegał zazwyczaj młodzieńca, aby w wyborze bohdanki, jako i w stosunku do żony, powodował się więcej rozumem niż uczuciem, pamiętając na stare przysłowie: „Źle gdzie krowa wołowi dobodzie." Powtarzano toż samo w stosunku do dzieci: „biada temu domowi, gdzie ciele dobodzie wołowi."



Fig 5. Tivoli.

Zgadzano się powszechnie w zdaniu, że mąż powinien być głową domu; niedołężnemu jego wpływowi przypisywano wszystkie klęski rodzinne, chociaż przyznawano, że niewiasta roztropną radą może być wielce pomocną mężowi. Niektórzy pisarze, jak to na innem wspomnieliśmy miejscu ([1]), wyrażają się z całem uznaniem o wrodzonym dowcipie i bystrości umysłu niewiast, przyznają im zatem prawo do nabywania wyższego naukowego wykształcenia. W szeregu tych pisarzy widzimy Łukasza Górnickiego, który w nieoszacowanem dziele „Dworzanin Polski" przekazał mnóstwo ciekawych obyczajowych rysów z drugiej połowy XVI wieku. Zapożyczył on tylko tytuł i formę z dzieła Baltazara Castiglione „Il Cortegiano", treść bowiem naszego Dworzanina jest czysto polską. W pełnych życia dyalogach zawarł autor nasz spostrzeżenia nad wychowaniem rycerskiem, obyczajami i towarzyskiemi stosunkami dworzanina. Zajmujące napotykamy tam opowieści z rzeczywistych poczerpnięte przygód. Tak np. w rozmowie o jednostronnem wychowaniu młodych ludzi, którzy ćwiczą się jedynie tylko w rycerskiem rzemiośle, z pominięciem innych pożytecznych nauk, a nie mają pojęcia o przyzwoitem towarzyskiem obejściu, przytacza autor opowieść następującą: Pewnego źle wychowanego, zuchwałego młodzieńca, prosiła pokilkakrotnie gospodyni domu, aby posłuchał muzyki, potańczył z pannami lub zabawiał się z niemi rozmową;—on, nietylko nie poznał się na grzeczności, lecz hardo odpowiedział, że to jest zabawa ludzi płochych, nie jego rzemiosło. Spytała go więc pani: Jakież to jest rzemiosło waszmości? Na to uczyniwszy postawę srogą odrzekł: „We krwi nieprzyjacielskiej brodzić a swej nie żałować". Urażona pani odpowiedziała: „Mnieby się zdało, ponieważ teraz wojny nie masz, abyś waszmość dał się czem tłustem namazać a wespołek ze zbroją i z tem wszystkiem czego przeciwko nieprzyjacielowi używasz, dał się gdzie do szafy schować aż do tego czasu, kiedy wojna będzie, abyś bardziej niż teraz nie zardzewiał".

Na innem miejscu napotykamy opowiadania o krotochwilnych przygodach, z okoliczności figlów, płatanych pod wpływem wesołego humoru. Czytamy tam między innemi o psocie niejakiego Pukarzewskiego, wyrządzonej Skotnickiemu, gdy tenże według zwyczaju przebrał miarę w napoju, znajdując się u niego na bankiecie. Rozkazał gospodarz zanieść nieprzytomnego gościa do lochu i włożyć mu na nogi pęta. Po prześpaniu i otrzeźwieniu,

([1]) Stanowisko praktyczne dawnych niewiast, str. 6—10.

skoro rozejrzał się biedak, przerażony widokiem ponurego więzienia, zapytał żałosnym głosem, czy nie ma w pobliżu jakiej żywej duszy. Po chwilowem milczeniu ozwał się jeden ze stróży postawionych na czatach, na pytanie zaś kto jest, odpowiedział: Straż nad tobą, abyś się nie wyłamał. Skotnicki na to: Powiedz proszę, na Pana Boga, któż mię i z jakiej przyczyny w te żelaza wsadził? Straż odpowie: Wierę nie wiesz?!! Dowiesz się jak cię na plac wywiodą. Usłyszawszy to polecił się Skotnicki opiece Najświętszej Maryi Panny, a po chwili pobożnego milczenia rzekł: Ale mój najmilszy bracie, przez boskie miłosierdzie cię proszę, powiedz com uczynił, bo przysięgam ci to na Bóg żywy, nie wiem ani pomnę abym co najmniej przeciwko komu wystąpił. Straż odpowiedziała: Aza nie pomnisz, żeś poczciwą dzieweczkę zgwałcił i ojca jej, gdy ją wziąć bronił, zabił? Odkrycie tak straszne raziło jakby gromem mniemanego więźnia. Nie mógł dłużej zatłumić w piersiach boleści i z rozpaczą zawołał: A niestetyż narodziwszy się mnie na ten świat, a bezecne pijaństwo do czegożeś mię przywiodło, iż oto marnie a sromotnie dać gardło muszę! Czemużeś mię miły Panie nie dał zginąć radniej w owych potrzebach, iżbym był nigdy na katowskie ręce nie przychodził. Ha, Pukarzewski przyjacielu, przesiedzieć mi twego wina, aby cię pierwej w sztuki siekano, niżem ja do twej gospody iść pomyślił. Ah! nędzni moi przyjaciele, to teraz weźmiecie ze mnie cześć: dla tegoście mię jednak byli do dworu wyprawili, abym was tą zmazą i wieczną sromotą pocieszył!..

Kiedy nażartowano się dowoli z rozpaczy Skotnickiego, przybyli do więzienia przyjaciele pocieszyli go nadzieją przejednania strony pokrzywdzonej, następnie oznajmili że odzyska wolność za ich rękojmią. Nieborak, nie posiadając się z radości, wyrażał swą wdzięczność mniemanym dobroczyńcom w najżywszych słowach. Sprawcy komedyi nie mogli dłużej powstrzymać się od śmiechu i wydała się mistyfikacya. Zawstydzony Skotnicki nie okazał gniewu i starał się nadrabiać fantazyą, nie zapomniał atoli urazy i przy pierwszej wydarzonej sposobności odpłacił się podobnym figlem Pukarzewskiemu, czyniąc go przedmiotem śmiechu i żartów przyjaciół i znajomych.

W dziele Górnickiego widzimy dwa wyraźnie wytknięte cele,—po pierwsze: wystawione są sposoby nabycia wykształcenia moralnego i umysłowego, jako nieodzownego warunku do zapewnienia gruntownego szczęścia; powtóre: wykazane zasady przyzwoitego i miłego towarzyskiego pożycia. Dzieło to jest w pełnem znaczeniu słowa moralnym przewodnikiem występującego na świat młodzieńca; nie zapomniał też autor Dworzanina o stosunku płci pięknej, której szczerym jest wielbicielem; jakoż obszerne poświęca jej ustępy. W zakresie tym nie spotykamy w pomienionej epoce drugiego równie wyczerpującego dzieła. Atoli w literaturze z pierwszej połowy XVII wieku nie brak rozpraw o wychowaniu i małżeństwie w książkach treści ekonomicznej, w traktatach o poprawie obyczajów, w kazaniach, satyrach i t. p. W szeregu tym wymienimy dzieła następujące:

Ekonomiki Arystotelesowej, to jest rządu domowego z dokładem ksiegi dwoje, w których się uczy każdy gospodarz, jako się obchodzić z żoną, z dziećmi, z czeladzią i imieniem, (przez doktora Sebastyana Petrycego) w Krakowie 1602 fol. *Poprawa niektórych obyczajów polskich potocznych* (Starowolskiego) Kraków 1625 4-to. *Dyskurs marnotrastwa i zbytku korony polskiej przez Krzysztofa Franciszka Falibogowskiego*, Kraków 1625, 4-to. *Kazanie albo kolęda, którą dał w Warszawie, w kościele św. Jana, Stanom panieńskiemu i senatorskiemu ks. Walenty Groza*, w Krakowie, 1622 4-to, *Kokosz wprzód pp. Krakowianom w kazaniu za kolędę dana, potem nowemu stadłu Imp. Janowi Mikołajowi Daniełowiczowi Podskarbiemu W. K. z Jejmp. Zofią z Tęczyna Daniełowiczową, na gospodarstwo po śmigusie drukiem ofiarowana przez X. Jacynta Mijakowskiego*, w Krakowie, 1638 4-to. *Kolęda gospodarska różnym stanom na kazaniu w dzień Nowego lata i Trzech Królów ofiarowana od X. Jacka Liberiusza*, w Krakowie, 1649 4-to.

Nie wymieniamy znacznej ilości satyr i pamfletów, nie możemy atoli pominąć pisma, aczkolwiek nader rubasznej treści, znanego pod tytułem *„Złote jarzmo małżeńskie"* bez miejsca i roku, lecz niezawodnie z początku XVII wieku; autorem jest Abraham Prowana kawaler maltański, zawzięty nieprzyjaciel niewiast i małżeństwa. Czytano wielce tę broszurę pomimo stronniczości poglądów autora, kilka albowiem razy ją przedrukowywano; zasługuje najwięcej z tego względu na uwagę, że wywołała nader gorącą odpowiedź, pod napisem: *Gorzka wolność młodzieńska, albo odpowiedź na złote jarzmo małżeńskie, przez jedną damę dworską imieniem drugich wyrażona, i na widok podana* (bez miejsca i roku druku).

Mniemana autorka dama pisze w przedmowie: Nie wątpię że siła będzie, którzy widząc jako w tej edycyi różnych nacyi języki, osobliwie łacińskie sentencye i historye się znajdują, będą rozumieć że to z mężczyzn kto pod imieniem damy wydał. Jednak kiedy wspomną jako i dawniejszych wieków dowcipem i nauką równały się białogłowy z filozofami, uznają że i tych czasów są, które różne języki umiejąc, ksiąg siła czytają i łatwo dadzą sobie wyperswadować, że i to rozumna a polityczna dama pisała". Pomimo tego zastrzeżenia, tak treść jako styl pisma nie dozwala powątpiewać, że autorem jest mężczyzna. (¹)

Rozpoczyna się odpowiedź na złote jarzmo wykazaniem, jak błahe są przyczyny, które wystosowują zazwyczaj nieprzyjaciele niewiast przeciwko małżeństwu. Ostrzega zarazem autor czy autorka, że niechętni do ożenienia w młodzieńczych latach, szukać muszą pociechy w późniejszym niestosownym wieku, według następującego wiersza:

> Kto uparty, sobie w żarty miłość zwykł obracać,
> Ten zrozumie, że ta umie tych hardych ukracać;
> Bo choć kto młody kochania brody przebył, ten się toni
> Tejże miłości, w samej starości, pewnie nie uchroni.
> Boć to przecie, w całym świecie, musi znaleźć z tak wiela
> Swoje swego i lubego natrafić przyjaciela,
> A tańca tego, wieku młodszego kto nie chce odprawiać,
> Upewniam śmiele, musi te trele na starość wyprawiać.

W konkurach o pannę zawsze ważną rolę grał posag; chcąc jednak autor Złotego jarzma nastraszyć kawalerów, zwraca uwagę jak wielce wymagającemi są panie, które w dom męża znaczne wniosły wiano. W odpowiedzi na to czytamy, że nie słuchają tej przestrogi młodzi panowie; powszechnie bowiem narzekają matki i córki, że konkurujący o rękę panny młodzian, stara się przedewszystkiem dowiedzieć jak znacznego może spodziewać się posagu, na końcu zaś dopiero pyta się o przymioty bohdanki, o jej wykształcenie i obyczaje. „Narzekacie że za posag sprzedajecie wolność.... Gotowa a krótka na to rada: bierzcie żony bez posagu, z grzeczności, z ukontentowania, żeńcie się nie pytając, pogotowiu nie targując się o posag. Tak za owych dawnych narodów nie żona mężowi, ale mąż żonie posag dawał, dla tego, żeby z posagu nie wynosiła się żona i nie chciała pano-

(¹) Winniśmy tu sprostować zaszłą omyłkę w poprzedniej naszej pracy: „Stanowisko praktyczne dawnych niewiast." Nie „Odpowiedz na Złote jarzmo, ale raczej „Złote jarzmo małżeńskie" stosuje się treścią do przytoczonego tamże dzieła „Żona wyćwiczona." Jak okazuje się z porównania, pod pomienionym tytułem Jan Karol Dachnowski ogłosił drukiem powtórnie „Złote jarzmo małżeńskie" wydane po raz pierwszy bez nazwiska autora.

wać nad mężem. U innych narodów kwota pewna naznaczona była, nad którą większego posagu dać się nie godziło. A nie chodząc po cudzych zwyczajach, w statucie Kazimierza W. króla znajdujemy, kędy pisze prawo, że jeśliby wojewoda który umarł nie naznaczywszy posagu córce swojej, tedy bracia powinni byli dać po niej sto grzywien—i to dokłada, jeśli wielkie włości miał, bo jeśli nie, to mniej."

Zaleca dalej autor odpowiedzi w przedmiocie wyboru żony, aby kawaler poszukiwał przedewszystkiem przyzwoitych obyczajów i cnót w niewieście, a nie troszczył się wielce o inne przymioty, gdyż równie piękna jak brzydka, panna lub wdowa, młoda lub niemłoda, może mu zapewnić szczęście. Dowodzenie to naciągnięte wyraźnie na przekorę przeciwnikowi, który w każdym stosunku małżeńskim ujemną upatruje stronę. Tak np. rozpisuje się w odpowiedzi dama o korzyściach męża pojmującego starszą żonę: Jeśli będzie stara to i rozumna, będzie mieć o wczasie twoim bardziej pieczę niż o swoim, rząd ci w domu poprowadzi, będzie głowę zastępowała twoją: naśpisz się w miękkiej pościeli, najesz się smacznych kąsków, w dostatek według stanu swego wleziesz. Nie bój się żebyć miano nad głową natrzaskać, bo za jeden twój raz co pogłaszczesz babusię, pozamykają okienice, drzwi pozalewają, na palcach i sama chodzić będzie. Nie wstaniesz, aż jeszcze na łóżku polewczki z jajami i z korzeniem, śniadanie wyborne przyniosą. Zgoła ja tak mówię: kto wczas i dobry byt lubi, weźmij sobie starą.

W następstwie pomienionych uwag pociesza autor odpowiedzi bezdzietnych mężów, jako wolni są od wielu kłopotów: «nie trzebać na chrzciny kosztów łożyć, zapraszać kmotrów, zaciągać inspektorów synom, ochmistrzyń córkom, nie nasłuchasz się jak wydziwiają panie przy urodzeniu dziecka, nie będą z ciebie baby i mamki żartować: takieć jak waszmość, cale się do jegomości urodziło».

Wogóle obrońca małżeństwa rozprawia wiele o stosunkach kawalerów do panien, później mężów do żon, ale traktuje nader pobieżnie kwestyą wychowania dzieci, jakolwiek zaznacza, że rodzice nie powinni szczędzić starań i nakładów, jeżeli chcą doczekać się z nich pociechy. Najdokładniej ze znanych nam moralistów z pomienionej epoki, rozpisuje się Sebastyan Petrycy w kwestyi kształcenia dzieci. Według zasad podanych w jego Ekonomice, dziecię do lat siedmiu powinno pozostawać bezpośrednio pod okiem matki, która czuwa nad udzielaniem mu zdrowych pokarmów i rozwijaniem sił fizycznych. Zaleca się obok zabawy i niewinnych igrzysk umiarkowane hartowanie ciała, przyzwyczajając ostrożnie dziecię do zimna i zmian powietrza. Oprócz nauki religii, czytania, pisania i rachunków, należy wykładać starszym dzieciom gramatykę, retorykę i dyalektykę. W następnym peryodzie młodocianego wieku, to jest od lat czternastu, mają chłopcy ćwiczyć się w konnej jeździe, zabawiać szermierstwem i myśliwstwem, przyuczać do trudów i niewczasów wojennych sypianiem na twardej pościeli, noszeniem pancerza, zbroi, karaceny, szabli przy boku. Wyższy kurs nauk stanowią: wymowa, poezya, historya, filozofia moralna, prawo, ćwiczenia w języku łacińskim i greckim, ale głównie dla przyzwoitego wykształcenia, gruntowna znajomość pierwszego była konieczną. Utrzymuje Dr. Petrycy, że nie jest potrzebny język niemiecki szlachcicowi, gdyż najprzyzwoiciej odprawiać poselstwo nawet do niemieckich dworów w języku łacińskim, jako używanym powszechnie, mianowicie w stosunkach dyplomatycznych. Ostrzega przytem, że nie przystoi Polakowi mieszkać w Niemczech, iż «nasze obyczaje są z niemi bardzo przeciwne, nie zgodzą się jeno w pijaństwie». Naukę języka włoskiego i hiszpańskiego uważa jako ozdobną, czyli modną, ale nie koniecznie potrzebną. Przeciwny jest tenże autor wysyłaniu synów szlachty za granicę z uwagi, że młodzi ludzie zamiast oddawać się nauce, najgorsze, mianowicie we Francyi, zawiązują stosunki i skażeni w obyczajach wracają do kraju. Zaznaczymy tu, że nie wspomina Petrycy o wysyłaniu młodzieży do Niemiec, od końca bowiem XVI wieku synowie możnych katolickich rodzin kształcili się we Francyi lub we Włoszech. Częste podróże do Niemiec dla dokończenia edukacyi zaniechane zostały w epoce nowego zwrotu w pojęciach religijnych. Moda wysyłania synów na naukę do szkół niemieckich sprowadzała zamięszanie w stosunkach rodzinnych. W czasach reformacyi, w XVI wieku, zdarzało się niejednokrotnie, że rodzice wysyłający synów zagranicę, dowiądywali się z boleścią o odstępstwie ich od wiary ojców dla nowej nauki Lutra. Taki los spotkał Mikołaja Orzelskiego i jego żonę, których trzej synowie: Maciej, Świętosław i Jan uczyli się w Lipsku. Starsi bracia po latach dwóch pobytu tamże przyjęli luteranizm, najmłodszy tylko Jan oparł się namowom niemieckich mistrzów i nie zachwiał się w wierze. Mając lat 16, zniechęcony do szkół niemieckich, pojechał najmłodszy Orzelski do Włoch, dwa lata przepędził na naukach w Padwie, nakoniec zwiedził Bononię, Florencyę, Rzym, Neapol i inne znaczniejsze miasta; w ośmnastu latach wrócił już do kraju (1).

Edukacya ówczesnej młodzieży, tak w kraju, jako i zagranicą, kończyła się zazwyczaj w ośmnastu lub dwudziestu latach, jedynie więc tylko poważniejsze umysły z podróży odprawianych w tak młodym wieku czerpały prawdziwą korzyść. Podejmowano wprawdzie podróże w dojrzalszych latach, ale najczęściej dla rozrywki, lub pod pozorem poratowania zdrowia.

Autor dzieła z 1625 r. «O marnotrawstwie i zbytku» gani modę podróżowania do Włoch, oraz kształcenia się zagranicą, chociaż przyznaje, że młodzież nasza mogłaby wiele nauczyć się dobrego w cudzych ziemiach, mianowicie we Włoszech; z okoliczności tej pisze między innemi: «Nie okłada się tam próżną gwardyą choćby miał za co, ani też za żydem chodzi modląc się na płaszcz lub marynaty, bo tam zwykle mają w banku swój depozyt i kilkakroć sto tysięcy szkutów; a u nas dziś sprawi a jutro z tem do żyda. Otóż nasi młodzi panowie mają się tam czego nauczyć, ale cóż potem, niechże się paniątko z Włoch wróci, alić się on zaraz gwardyą obsadzi, alić dostatki, alić lej, rozlej, aż wioski lecą..... A tak to bywa, jeden się od drugiego zaraża, bo mu się to za wielką krzywdę widzi, aby u niego nie był strojniejszy pachołek, nie większe kufle i nie więcej półmisków na stole! A prawda jasna, baczni ludzie mówią, że włoskie kraje w Polsce zbytków namnożyły, bo już to pewna, że dostatek młodego nie naprawi, jako się o tem wyżej znać dało, a drudzy wracają się czasem z filozofią.» Tu przytacza autor nazwiska młodych ludzi, którzy pojechawszy zagranicę, nauczyli się tylko rozpusty i marnotrawstwa. Zwracając się następnie do wychowania domowego, zaleca, aby synowie polskich panów kształcili się we własnej akademii krakowskiej, która już wielu znakomitych, zasłużonych krajowi wydała mężów. Radzi więc, aby młodzież przykładała się w domu pilnie do nauk i starała o promocyą w akademii, nie pogardzając kapturem i suknią mistrzowską. Stawia na przykład Jana Ocieskiego kanclerza W. koronnego za Zygmunta Augusta. Szczycił się on z otrzymanego w akademii stopnia i szydził z panów, którzy w chęci ośmieszenia

(1) Annales domus Orzelsciae per Joannem Orzelski. Posnaniae 1854.

nazywali go bakałarzem. Zdarzyło się, że w dniu Nowego Roku, kiedy Ocieski suty wyprawiał bankiet w Krakowie, we własnej kamienicy na Grodzkiej ulicy, przybyli tamże z powinszowaniem słudzy Rektora, tak zwani sapientowie, z berłami srebrnemi pozłocistemi, według dawno przyjętego zwyczaju. Jeden z nich wysunął się naprzód i rozpoczął oracyę od wyliczania tytułów. Słucha Kanclerz, ale nagle zatrzymuje mowcę wołając: by ty zabit, zmełełeś (skłamałeś)! Zmięszał się sapient i mniemał że zapomniał jakiego tytułu, ale ktoś z obecnych szepnął mu do ucha, aby w przedmowie dodał: «bakałarzu». Tego w istocie żądał Ocieski, jakoż z uśmiechem zadowolenia rzekł: «Gdybym nie był bakałarzem promocyi krakowskiej akademii, nie byłbym kanclerzem koronnym i nie miałbym takiej łaski króla pana mego». Po skończonej oracyi wypił kanclerz do pierwszego senatora za zdrowie królewskie, potem za zdrowie rektora i całej akademii, nakoniec pił do sapientów, podziękował im i dziesięć talarów wyliczyć kazał.

Wracając się do dzieła Sebastyana Petrycego, zaznaczamy, że uwagi jego w przedmiocie pierwiastkowego wychowania synów odznaczają się wielką trafnością. Zaleca aby rodzice i przełożeni badali przedewszystkiem temperament dziecka i z łagodnem postępowali łagodnie, surowo zaś z krnąbrnem i popędliwem. Skoro wyrozumie przełożony złe skłonności wychowańca, powinien według rady Petrycego starać się usunąć przyczyny zepsucia, tkwiące częstokroć w otoczeniu, jak np. w złem towarzystwie, następnie ma naprowadzać na dobrą drogę tak ostrożnie, aby dobrowolnie porzucił młodzian naganne a utwierdzał się w dobrych i chwalebnych zwyczajach.

Co dotycze wychowania dziewcząt, Sebastyan Petrycy równie jak inni owocześni moraliści, nie kładzie żadnego nacisku na ich naukowe wykształcenie. Głównie więc rozprawia o obyczajach niewiast, jako stanowiących podstawę rodzinnego szczęścia. Co do stosunku panien do kawalerów, zaleca zachować największą baczność: «Nie mają dopuszczać rodzice nawiedzać swoich córek do pokoju od młodzieńców, ani podarków, ani poselstwa, ani listów do nich nosić, bo mało będzie pożyteczno nie dopuszczać pannom przechadzać się z domu albo z pokoju, jeśli nie będzie o nich straży doma pilnej. Wiek bowiem młody z obu stron, spólne wejrzenie, wieczne rozmowy, częste żarty, prędką do miłości podnietę dają, zwłaszcza białejgłowie, która do młodzieńca się ma jako żelazo do magneta: a jeśli będzie do tego chytry, dowcipny, łacnie uwiedzie niestałego i mdłego baczenia dziewkę». W dalszym ciągu uwag dozwala autor rozmawiać a nawet korespondować pannom z kawalerami, ale ma to być z wiedzą matki lub ochmistrzyni. *(D. c n.)*

KRONIKA LITERACKA.

Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu, przez *Maryę Gorecką.* Warszawa, 1875 rok; str. 78.

Zwracając uwagę czytającego ogółu na tę książeczkę, wydaną przez Redakcyę Kroniki Rodzinnej, nie mamy na myśli krytyki literackiej, której Wspomnienia córki o znakomitym ojcu nie ulegają pod żadnym względem. Zresztą, potoczny wykład pani Goreckiej, zwrócony do najmłodszego brata—i styl, odpowiadają wszelkim wymaganiom;—a każdy najmniejszy szczegół z życia naszego wieszcza, tak jest dla nas zajmującym i szacownym, że przyjmując go do serca, podnosimy zarazem do znaczenia historycznego faktu. W dwudziestoletnią rocznicę śmierci, rzewny głos córki wywołuje cień jego i wskazuje nam go w życiu potocznem, w kole rodziny — pośród uciech i trosk domowych. Cichy i uroczysty ten obraz, porusza nas do głębi a zarazem pociesza i uczy wiele. Zanadto często, w ostatnich czasach, wynoszono przed nami na pokaz, illustracye *ludzi małych* a głośnych przez to, że tym lub owym sposobem zdobyli *wielkie pieniądze.* Widok więc *wielkiego człowieka*, promieniejącego rzeczywistą, osobistą wartością, pośród skromnych warunków uczciwego i pracowitego życia, bez myśli nawet o milionach i zewnętrznym przepychu — pociesza nas tryumfem wyższości ducha i uczy dbać bardziej, wzorem Mistrza, o godność osobistą, niż o przemożne dostatki, zdobywane gorączkową gonitwą, tylko—za miłym groszem.

Zawdzięczamy niemniej pani Goreckiej pełen światłości obrazek jej matki, a żony poety, Heleny z Szymanowskich. Kilka rysów, naszkicowanych pod wpływem serdecznego ciepła wspomnień rodzinnych, zbiegają się w jednę całość i tworzą postać matki i żony, pełną wyrazu i prawdy. Nie z pod ręki idealizującego artysty, ale z żywego domowego podania, mamy gotowy wzór do naśladowania dla wielu pań naszych, zatruwających życie własne i bliskich sobie śmiesznemi i nieuzasadnionemi pretensyami do paradowania nad sferę i możność.

To wysokie moralne znaczenie *Wspomnień* pani Goreckiej, nakazało nam podać o nich choć tę pobieżną wzmiankę. Zalecamy je wszystkim ludziom dobrej woli— a szczególniej kółkom rodzinnym; dostarczą one treściwszego i zdrowszego umysłowego pokarmu, niż wiele tandetnych powiastek i niedowarzonych rozprawek. Zamiast chorobliwego lub wysilonego utworu fantazyi, spojrzymy na ustęp z dramatu życia wielkiego człowieka — poprzestającego ze spokojem na materyalnych środkach, które lada gryzipiórkom lub kupczykom dzisiejszym zdawałyby się z pewnością za niedostateczne i upokarzające! Czuć się upokorzonym niemożnością błyszczenia zbytkiem — jest to sytuacya społeczna u nas nowa — i bogdaj przechodowa tylko!

Nie składamy hymnów na bezwarunkową pochwałę czasów dawno i niedawno przeszłych. Smutna ułomność ludzka w każdej epoce zdobywa się na pewne zboczenia, właściwe chwili. Wiele było do poprawienia w przeszłości—i dość dało się poprawić, lub przynajmniej skierować ku poprawie. Lecz natomiast pojawiły się nieznane chorobliwe symptomata. Do tej liczby należy powszechny niemal popęd do przesadzania się w zbytku, dogadzania zmysłom—lub tylko pozorom. Było to i dawniej—lecz nie tak ogólne—i bez podstukowanej, naukowej *niby* podstawy. Zdrowe ekonomiczne zasady nietylko potępiają zbytek, nietylko pracę osobistą stawiają jako jedyne źródło prawidłowej produkcyi — ale nawet wykazują zgubne dla społeczeństwa skutki nagromadzania w jednem ręku wielkich bogactw— co nie przychodzi bez szkody ogółu. Taki był duch ekonomii społecznej— dopóki ta nauka rozwijała się teoretycznie pod piórem uczonych i w wykładach akademickich. Pochwycona przez bazarowych i giełdowych aferzystów, straciła w praktycznem zastosowaniu swoją społeczną i obywatelską cechę i zmieniła się w dowolnie interpretowany statut dwuznacznej spekulacyi jednostek kosztem ogółu.

Żeby wstrzymać w samym zarodzie zgubny kierunek ekonomicznych pojęć—w najobszerniejszem ich znaczeniu—winniśmy szczepić staranniej niż obecnie, w po-

jęcia młodego pokolenia płci obojga, zasady ogólnego umysłowego i moralnego ukształcenia — i na tej dopiero podstawie rozwijać specyalne ukształcenie praktyczne, odpowiednie do wymagań chwili. Młody umysł, zaprawiony od razu do tego tylko co ma przynosić natychmiastową, materyalną korzyść, bez wskazówek historyi, bez poznania obyczajowej strony społeczeństw a nawet bez złagodzenia i uszlachetnienia pojęć estetycznych, zacofa się w sferę uzdolnionego fachowo zwierzęcia — a nasycenie zmysłowe przez co najobfitsze wzbogacenie się, stanie się jedynym celem jego życia—jedynym aktem wiary. Żywoty więc takich ludzi jak Mickiewicz, Szajnocha i inni, choć mniej podnieśli duchem, ale zacnej zasługi moralnej, zestawione z życiorysami Ofenhejmów, Strousbergów i całej kliki ich poprzedników, którzy skończyli samobójstwem albo haniebnem stawieniem na ławie oskarżonych—przesuwajmy przed oczami naszej młodzi, dopóki nie straciła szlachetnego rumieńca wstydu, dopóki nie nauczyła się czuć upokorzoną wobec wzbogaconych społecznych karłów. Wzgląd na ekonomiczne warunki bytu jest konieczny — ale w granicach, jakie na polu spokojnej, uczciwej rywalizacyi zdobyć się dadzą, z zachowaniem godności osobistej, opartej na prawdziwem umysłowem i moralnem ukształceniu.

Jan Prusinowski.

ZE ŚWIATA DZIECIĘCEGO.

W tych dniach w księgarni Gebethnera i Wolffa ukazały się „Wzory zabawek dla dzieci, do wycinania z papieru, pomysłu Adryana Głębockiego." Wzory te składają się z 12 tablic czyli arkuszy, z których każdy jest innego koloru, a na każdym narysowane są zwierzęta i różne inne przedmioty, których barwa naturalna zbliżona jest mniej więcej do koloru papieru. Rysunki są dwojakie: jedne przedstawiają formę do wycięcia, drugie przedmiot ten sam, tak jak on wygląda po stosownem złożeniu wyciętej formy; formy zaś tak są obmyślane, że do złożenia ich nie potrzeba zupełnie kleju. Rozmaitość figur wielka, na owych bowiem 12 tablicach mieści się około 160 przedmiotów, a każdy przedmiot może sobie dziecko mnożyć do nieskończoności, wystrzygając formy z czystego papieru, według tej, którą ma we wzorach narysowaną.

Pan Głębocki jest z powołania artystą malarzem, zabawkę o której mowa wymyślił nie na spekulacyą, ale dla własnych dzieci, z któremi bawiąc się, pierwotny swój pomysł wspólnemi niejako siłami stopniowo rozwijał i ulepszał;— dla tego to zabawka owa nie grzesząc w niczem przeciw wymaganiom estetycznym, owszem rozwijając w dziecku poczucie formy, ma w sobie obok tego jakiś charakter swojski, domowy, rodzinny,— czuć z niej, powiedzielibyśmy, ciepło domowego ogniska. Zdaje nam się, że widzimy ojca, matkę, lub wreszcie jedno ze starszego rodzeństwa, otoczone drobniejszą dzieciarnią, z nożyczkami i papierem, czasem i z ołówkiem w ręku, wykrawających i składających narysowane na tablicach p. Głębockiego przedmioty; że widzimy radość malców, gdy z potwornego na pozór wykrawka, ów starszy między niemi, złoży im kształtny domek, zwierzątko, ptaszka i t. p.,— cóż dopiero, gdy sami za tym przykładem, albo i bez żadnej pomocy, złożą jakąś figurkę z „Wzorów". Nie dosyć na tem; największy pożytek z tej zabawki będzie ten, jeśli ktoś z rodziców lub starszych, na wzór rysunków p. G. obmyśli jakiś nowy przedmiot, nie mieszczący się w tablicach p. G., narysuje lub wykroi formę, a następnie złoży ją odpowiednio w oczach dzieci. To zachęci je niezawodnie, że przykład ten naśladować zechcą i same rozmaite formy wykrawać poczną. Mniejsza już o to, jak te usiłowania wypadną, ale zawsze myśl do czynności pobudzoną zostanie, a potrzeba pochwycenia i wytworzenia pewnych kształtów, oko i zmysł obserwacyjny ćwiczyć będzie. Więcej od zabawki dziecinnej żądać nie możemy.

Może nam kto zarzucić, żeśmy się nad taką drobnostką niby, za długo rozpisali. Uczyniliśmy to jednak dla tego, że pierwsza to zabawka rodzimego pomysłu zasługująca na uwagę; dla tego, że wieje z niej ciepło kółka rodzinnego; dla tego, że zdaniem naszem, obok rozrywki mieści w sobie pożytek; dla tego, że jest to zabawka prawdziwie pokojowa: nie hałaśliwa, owszem do ciszy zachęcająca; oprocz trochy nastrzyżonych papierów, które uprzątnąć łatwo, nie robiąca nieporządku w pokojach, niewalająca dzieciom rąk, nieplamiąca sukienek i t. d., a zajmująca do tyla, że nawet starsi chętnie w niej udział wezmą i przewodniczyć będą; dla tego wreszcie że tania, bo zaledwie 75 kop. kosztuje.— Za jej zaletami przemawia już to nie pomału, że Instytut Głuchoniemych, zaraz po jej ukazaniu się w handlu księgarskim, nabył pewną ilość jej egzemplarzy dla wychowanków swoich.

Z tych więc powodów i my też, zarówno bezpośrednio interesowanym, jak rodzicom ich i przewodnikom, zabawkę tę przed wielu innemi, kosztownemi a najczęściej bezmyślnemi, usilnie zalecamy. G. C.

DROBIAZGI.

Sztuczna wanilia. W soku drzewnym sosny znajduje się pierwiastek oddawna już znany, zwany koniferynem. Obecnie udało panom Haarmann i Tiemann, assystentom prz uniwersyteckiem laboratoryum w Berlinie, zamienić ten pierwiastek w wanilin, który znajduje się także w wanilii i nadaje jej charakteryzujący ją smak i zapach. Dr. Haarmann założył już nawet w Holzminden fabrykę wanilinu z drzewa dębowego. Stosunek wanilinu w naturalnej wanilii jest rozmaity, ale najlepsze gatunki posiadają go zaledwie 2%; dr. Haarmann zatem w tym stosunku miesza go z cukrem, i w tej postaci sztuczną wanilią puszcza w obieg handlowy. Wynalazek ten każe się spodziewać obniżenia cen wanilii.

Nowy przyrząd do pisania. P. Th. Huppinger z Mannerdorf (nad jeziorem Zurichskiem) zbudował przyrząd, który sam spisuje słowa mówione. Przyrząd ten, złożony z części ruchomych, wprowadzony w styczność z organem głosu, znaczy poruszenia ust, języka, gardzieli i t. d. kropkami i kreskami na wstędze papieru rozwijącej się w miarę potrzeby. Z niedokładnego opisu tego wynalazku, jaki mamy przed sobą, poczerpniętego zresztą z nader poważnego pisma naukowego, tyle tylko wnosić można, iż jedną z trudności jakie się w zastosowaniu jego przedstawią, będzie ustalenie odpowiedniego alfabetu; że jednak po przełamaniu tej trudności, wynalazek ten będzie mógł z czasem zastąpić prawdopodobnie dzisiejszą stenografią.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski**.

Дозволено Цензурою, 30 Декабря (11 Января) 1875/6 года.